21. Czerwca. **Nr. 31.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)
Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera**.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

PODOLANKA.

OPOWIEŚĆ KOZACKA.

I.

Hulaszczo płynie Dniestr pomiędzy skałami, igra swobodnie z odłamami granitu, zaprasza do wesołego tańca, i z śmiechem i hukiem mołodczym niesie je precz gdzieś w Sine morze.

Miljony gwiazd, rozsypane po jasnem niebie, wtórzą krasie przyrody, która szczodrą ręką rozsypała swe dary na świętą ziemię Podolską. Jak dziateczki u rodzonej matki, wyglądają z za nieba lazurów, kąpią liczko w srebrzystej fali Dniestrzanej, i figlarnie mrugają na Rusałki, wabiąc je do siebie. A w około tak pięknie i cudownie, jak gdyby tu kraina aniołów! Zda się nuta świętej ich pieśni, rozlana w tem przestworzu, drzy na powiewnych skrzydłach wiatru, ukryła się w brylantach rosy niebieskiej, i zgina główki stepowych traw i kwiatów. Pięknie tu, czarownie! a duszy i sercu błogo.

Dla czegoż ty, blady księżycu-misiaczeńku, skryłeś się za chmurę czarną, która sama tylko zaciemnia tę nieba pogodę? Czemu okiem wesołem nie spojrzysz w około i nie przydasz krasy temu pięknu, a tej wielkości — powagi majestatu?... Czy w przyszłość wtajemniczony nie cieszysz się dla łez, które tu popłyną za chwilę?... Powiedz nam, królu nocy! niech wiemy: czego się spodziewać...

Milczy uroczyście, a snać nie darem chmurzy twarz promienną!

*
* *

Na zamku, co wysoko wzniósł się po nad ziemię, i jak orzeł, z pomiędzy chmur na dalekie stepy patrzy — szumnie, hucznie! Kasztelan Sołomerecki pan z panów, co to mu równego poszukać daleko, wydaje dzisiaj swoją córkę, piękną Hannę, za mąż za chrobrego sotnika Spisę, który młodo zdobył już sławę, jakiej i siwowłosym mieć by nie wadziło!

Hej piękna-ż bo to para państwo młodzi! Ona: białolica, rumiana jak róża w rozkwicie; kiedy spojrzy czarnem okiem, to het gdzieś aż do duszy sięga, i chcesz czy nie chcesz musisz oddać serce czarodziejnej krasawicy, co na podziw wdała się, na Podola sławę i pociechę ojca, który nieba przychylił by jej i duszę oddał za dońkę ukochaną.

A Sotnik — toto chwat kozarluha! Stan wysoki, w ciemnem oku siła mołodcza, że jakiego chcesz wroga przestraszy! z szablą zrósł się on, z szablą się skrewnił. Ot i teraz: tuli do łona, już swą żonę, ukochaną Hannę, a kare oko co chwila pada na wierną szablę, co aż się prosi do rycerskiego boku i silnej jego dłoni!

— Szczęśliwy Bohdan! — szepczą młodzi, tonąc okiem w wiernej drużynie Sotnika, która czystą duszą zlewa się z duszą ukochanego.

— Piękna para! — wołają starsi, przypominając dnie swe młode, co niby sen, przeszły; a były takie piękne... I każdemu stanęła w myśli swoja Hanna, co to kiedyś... Et! — I marudną dumkę topią w kuflach tęgiego miodu, który się leje potokiem.

Muzyka gra wesoło. Młodź ochoczo tańczy i zaleca się do dziewcząt. Starsi rozmową stateczną, albo się bawią puharem. W każdej piersi wesele, w każdem sercu radość — ale nigdzie jak u młodej pary! która niebo zdobyła, i nic nie pragnie więcej! Ta zkąd go wziąć już w świecie!...

— Zdrowie młodej pary! — wniósł weselny starosta.

— Niech żyją wieki! — huknęli goście w sta głosów, i setka pełnych puharów opuszczono na stół — próżne do kropelki! a to znak szczerości.

— Niech żyje jaśnie wielmożny kasztelan! — I znowu ozwał się każdy serdecznie, i wino ciecze strumieniem.

A muzyka gra zamaszyście! Na zamku głośne ozwały się surmy, jeszcze głośniej biją w bębny i kotły, z rusznic i harmat strzelają dla uciechy. Wszędzie radość i ochota szczera — wino rozgrzewa krew i serce weseli.

— Za kozaczą dolę i za naszą wolę! — huknął Sotnik z pełnej piersi.

Zamkowe ściany zatrzęsły się od okrzyku, i nie puharem ale konwiami pito, spełniając wielki toast. Ta i jakże go nie pić? Toć za dolę i za złota wolę!

Gdzie szczera ochota, tam nie pytaj o miarę! i rozum utonie w serdecznym uścisku.

Nie było obłudnych pomiędzy gośćmi kasztelana; toż ci wszyscy dowodem! Parnie kurzy się z kozackiego czuba i z czupryny szlacheckiej; nie statkują nogi, i ziemia czy w taniec z niebem poszła — tak się okręca i chybocze!...

— Nie ma mocy, *pane brate!* Nie żałował kasztelan dobrego!... Pohybel wrogom Ukrainy! hurah kozacza dola! Przeklęty Tatarzyn! *Stereżitcia bisurmany!* powyduszamy! zetrzemy na niuch tabaki!

I nie jeden gdzie stał, tam się też i zwalił, *serdega*, a rękami objął nogę od stoła, w przekonaniu, że ściska Iwana czy Opanasa.

. . . .

Hej! co tam za tętent, że się aż ziemia ugina i stęka, jakby wroga dźwigała na sobie?

Dziki świst w powietrzu i jeszcze dziksze wrzaski...

Zamkowa straż słyszy przez sen; ale podchmielona, nie wie co się dzieje... Kozacy i szlachta śnią o wesołych przygodach!

A na drodze do zamku pokazał się jezdny; dobiegł wrzeciądzów, i z całej siły huknął: Tatarzy!

›Tatarzy!‹ powtórzyły zamkowe wały; ›Tatarzy!‹ odbija echo od ścian sal zamkowych.

— Tatarzy! Kto żyje, za mną! — wykrzyknął Spisa, i wierna szabla błysnęła w silnej jego dłoni.

— Tatarzy... — szepnęła piękna Hanna, i zemdlona osuwa się na zimne marmury...

Spisa widzi żonę.

— Nie czas... nie pora! — krzyknął. — Za mną! — i wybiegł, a za nim goście, których otrzeźwiło groźne imie wroga.

Z nie małą siłą przyciągnął na Podole brat tatarskiego Chana, chrobry Mahomet, któren nie jedną już rzekę krwi niewiernych przelał. A wie, że dla Ordy będzie tu łup nie lada, bo weselni nie spodziewali się tak groźnego gościa.

Na karym koniu, dzielny jeździec Mahomet jest wszędzie, gdzie tylko miecz tatarski spotyka przeszkodę; krzywa jego szabla przeważa szalę zwycięztwa na stronę dwórogiego księżyca, a Orda z dzikim krzykiem ›Allah!‹ wali na zamkowe mury.

Nie ostoją się chrześcijanie przeciw sile wrogów. Ani wojska, ani potrzebnych zapasów; a zaś najbardziej, to przestrach, połączony z nieładem, na wieść o niespodziewanym napadzie w chwili weselnej biesiady.

Upada brama zamkowa pod uderzeniami ciężkich berdyszów tatarskich... Za krzywą szablą Mechmeta leją się krwi potoki.

— Wszystko stracone! — słychać krzyk rozpaczliwy, a na najwyższej baszcie zamkowej błysnął księżyc dwórogi.

— Allach! Allach! — ryknęli tatarzy z radości, i dalej walą na zamek.

W najgęstszym tłoku, gdzie wrogów siła zdała się na nic, koło kasztelana, stoi sotnik Spisa. Jego szabla niosła śmierć za każdem cięciem, strzał nie chybiał celu... napróżno! wróg już tu! chwila — i wszystko stracone!...

Zwrócił się do kasztelana.

— Ojcze! broń ją; a ja strzałą polecę, i da Bóg wyrwę was z nieszczęścia.

— Idź! — odrzekł starzec spokojnie. — Tylko po trupie ojca dójdą do jego dziecka.

Spisa uścisnął rękę kasztelana; tęsknem okiem spojrzał na okna sali, gdzie swój raj zostawił — siadł na wronego, i lotem błyskawicy przeleciał przez kupy Tatarów, osłupiałych z podziwu na objaw odwagi kozaka.

Sto strzał świsnęło; nie jedna kula poleciała w pogoń za śmiałkiem... ale nie zatrzymano kozaka, który klątwą bryznął wrogom w lica, i z żądzą zemsty znikł w tumanie.

. . . .

Na zamku panami Tatarzy.

Dzikie wrzaski ich wesela rozdzierają duszę konających, których powalił miecz najezdzcy.

Krew ciecze; stosy trupów zawalają fosy i rowy, nie mało ich także na bruku zamkowym.

Rzucono się do grabieży. Rwą, odzierają, palą; ładują wozy cudzym dostatkiem; zabierają i niszczą przybory wojskowe.

Tylko z jednej baszty słychać jeszcze strzały — ostatnia nie poddała się Ordzie zwycięzkiej.

— Co tam jeszcze! — krzyknął Mahomet, i jak dzika sarna skoczył do odrzwi żelaznych.

— Precz z niemi! — zawołał, i ostatnia zapora z chrzęstem upadła na pomost kamienny, odsłoniwszy piękny, a zarazem rozdzierający obraz.

Nad omdlałą córką stoi zgrzybiały Kasztelan, i groźnie patrzy na wrogów, gotów zmierzyć się z nimi; ostatni wystrzał pistoletu dymi się jeszcze, plunąwszy przed chwilą w twarz tatarzyna, któren łamał kratę w oknie. Naboju już braknie; ale czoło starca groźne! cała postawa świadczy, że tylko po jego trupie wiedzie droga do pięknej Hanny, jeszcze piękniejszej w tym śnie pół-śmierci, który ją swemi skrzydły ocienił.

Pierwszym do komnaty wszedł Mahomet; pierwszy dostrzegł starca i krasawicę.

Czemuż to serce rycerskie zabiło mu w piersi? czemu rumieniec smagłe lica krasi?

— Starcze! porzuć miecz nieużyty; z twej głowy siwy włos nie spadnie, ręczę słowem Mahometa.

— Precz ztąd, psie pogański! Nie zatruwaj tego powietrza niecnym twym oddechem! — krzyknął zapamiętały kasztelan, i miecz poruszył się w starej jego dłoni.

— *Giaur!* — wrzasło pomiędzy tatarami; groźni obrazą swego pana, rzucili się na starca, i zanim Mahomet zdołał powstrzymać pijaną od gniewu tłuszczę — już trup kasztelana padł u nóg Hanny, jakby i swą pozostałością jeszcze chciał wzbraniać do niej przystępu.

Ocknęła się. Jedno spojrzenie wystarczyło, by swą niedolę pojąć... Lotem błyskawicy, chwyta miecz ojcowski, i rzuca się na Machmeta.

— Giń, pohańcze! — uderza w pierś; ale ostrze ślizga się po stalowym pancerzu tatara.

Zelektryzowana na chwilę spotęgowaniem swej niedoli, Hanna mdleje ponownie, i upada — w ramiona Machmeta, któren silnie trzyma ją w objęciach, pałające oko topiąc w pięknem licu Podolanki. (D. n.)

ŚWIAT I SUMIENIE.

Dramat w pięciu aktach

przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

AKT III.

(*W pomieszkaniu Konstantego. Pokój prawie pusty, sprzętów kilka bardzo prostych, na przodzie kanapa i stolik*).

Scena I.

KONSTANTY (*sam*).

I cóż zrobiłem? Wyznaję w pokorze
Przed samym sobą — że dotąd zbyt mało;
Bo też zbyt ostre społeczności noże,
Ledwieś jej oddał ukłon, — choć nieśmiało,

A już cię pyta: czy masz waść guldeny,
Lub stanowisko? — Nie? — to ustąp panie! —
I już tnie nożem i spędza z areny,
Ale nie spyta o twe powołanie;
I jesteś skazan na banicję wieczną!
Okropna cisza — na zewnątrz, nie w duchu,
Który w zapasy chce iść z tak waleczną
Jak teraźniejszość, co pożycza ruchu
Sztucznego trochę, drażniąc piersi ludów
Łutem wolności albo funtem złota...
I ot, czekają, jak ja niegdyś — cudów,
Do których wiedzie tylko woli cnota.

(*Po chwili*).

Samotność moja staje się grobową,
Samotność moja zupełna, od chwili,
Gdym zerwał z ojcem — jak gdyby połową
I stanowiska pierwiej mię zdobili,
Jakie zajmuje mój ojciec w urzędzie;
O! jakże smutne takie poważanie!
O, jakże śmieszni ludzie są w tym względzie...
Byle tytulik, a znajdziesz uznanie.

(*Wchodzi Adam*).

Scena II.

KONSTANTY, ADAM.

KONSTANTY.

Ty mię znalazłeś, dziecko swego wieku?

ADAM.

Nie ja, mój kuzyn, ma interes mały...

KONSTANTY.

Testament nowy — interes w człowieku,
Do czynu budzi gdy dusze ustały.

ADAM.

Bez tych żarcików, oto przyjmij pracę,
Dzisiaj podobno bardzoś jej potrzebny?

KONSTANTY.

Jak powiedziałem — interes kołace
W szanownym mózgu; otóż, by chwalebny
Pomysł wykonać, interes przybywa,
Aby przedłużyć żywota tej biedzie,
Co — gdy potrzeby praca nie pokrywa,
Cały wiek kona.

ADAM.

Niechaj na objedzie
Skromnym przestaje: chleb i szklanka wody.

KONSTANTY.

Nie o to chodzi, mój nauczycielu,
Lecz o to tylko, że mając powody
Interes, zdążać do swojego celu
Najtańszym kosztem — wyraźnie, obdziera,
Jednakże chodzi w biały dzień bez piętna,
A co nikczemniej — pracą poniewiera,
Choćby dłań była z pożytkiem i chętna.

ADAM.

Ale zkąd robisz mnie takie zarzuty?

KONSTANTY.

Powtórz, co słyszysz swemu kuzynowi.
Byłem, zkąd idziesz, byłem nie wyzuty
Z uczuć, co dzisiaj, wiem, zepchnąć gotowi
W błoto lub sprzedać. Ja pracy szukałem,
Alem nie widział w pracy poniżenia;
Twój zaś pan kuzyn, racząc mię wspaniałem
Na wstęp wejrzeniem, rzekł, iż położenia
Nasze, obecnie, mocno się zmieniły,
Że ja na teraz, tak, bez stanowiska,
Nie byłbym gościom jego domu miły;
Prosi mię zatem, by dziś, nie tak zbliska
Mówić z nim o tem, o czem mówić raczy. —
Otóż wyszedłem... i mam dla was serce...

ADAM.

Dla takiej rzeczy poddać się rozpaczy...

KONSTANTY.

Poddać rozpaczy!? — Sądzisz, że bluźniercę
Znachodzisz we mnie? Bluźnić, przeciw komu?
O! świat nie każdy może być tą siłą,
Co wznieca rozpacz czasem w takim domu,
Jak piersi, której zimno nie zabiło.

ADAM.

A twójże ojciec — kuzynek bogaty?

KONSTANTY.

Ojciec, jest ojcem.

ADAM.

Mój ideał bierze.

KONSTANTY.

A jednak takiej ty nie płaczesz straty.

ADAM.

Jabym się zabił, coż, kiedy nie wierzę
W wędrówkę przyszłą.

KONSTANTY.

Tak żyjąc, ty żywy?

ADAM.

Śmieszne pytanie, chociaż je pojąłem;
Powiem, żem nawet trochę nieszczęśliwy,
Trochę, bo przecież nie jestem aniołem.
Kochałem, kocham, lecz zawsze wesoło;
Dziś nawet, kiedy mój ideał bierze
Twój ojciec sobie, to myślę: świat szkołą,
Twój ojciec widać uczeńszy w tej mierze.
Otóż jesteśmy jak na jednej drodze:
Ty, tracisz pannę, ja, już postradałem,
Tylko ty żalom nadto puszczasz wodze,
Ja — nie rozpaczam.

KONSTANTY.

Twoim ideałem
Ni jest, ni było, co się rodzi z ducha.

ADAM.

A ty nie pojmiesz, że tych panien matka
Kieszeni prędzej, niż sercu da ucha.

KONSTANTY.

Świat, świat zaraża, póki do ostatka
Nie zaspokoi żądzy posiadania
Szczęścia bez duszy!

ADAM.

Pieniądz świata duszą!
I pani Nałęcz, być może się wzbrania
Córkę dać tobie, bo ci duchy suszą
Kieszeń i głowę. — Tam na ciebie żale,
I panna Zofja słyszę bardzo chora.

KONSTANTY.

To dziwi, prawda?

ADAM.

Idź, w wiary zapale
Uzdrów niemocną.

KONSTANTY.

Niemoc, wieku zmora!
Tak — gdybym zdołał ugodzić w jej łono,
I zabić niemoc, miałbym zdrowie wieku.

ADAM.

Zanadto nasze nerwy rozdrażniono.

KONSTANTY.
Zanadto, mówisz? wiesz o tem człowieku?
A czemuż nie wiesz, że pierwszy nerw — serce,
Że dzisiaj wrzeszczą na ten płód w iskierce? —
To niczem dla nich, że dziecko umiera,
Lub, że je cisną starcowi w objęcia,
Byle żyć dobrze. — Ha! gdy się tak ściera
Wszystko na świecie, to i me pojęcia
O etykiecie wobec nich, niech padną!
Wszak jej widoku nie zabronią może?

(*Chce wychodzić*).

ADAM.
Nie wiem... Słyszałem, że dziś bardzo ładną
Jest panna Zofja. (*Wychodzi*).

ZŁOTKOWSKI (*za sceną*).
Coż to za bezdroże!

Scena III.

KONSTANTY, ZŁOTKOWSKI.

(*Konstanty spotkawszy we drzwiach Złotkowskiego wraca niecierpliwy*).

ZŁOTKOWSKI.
W takiej szkaradnej skryłeś się ruderze,
Żeśmy cię ledwo odszukać zdołali.

KONSTANTY.
Ktoż wskazał drogę?

ZŁOTKOWSKI.
Już to mówiąc szczerze,
Tomasz cię zdradził; tak, stary się chwali
Twem zaufaniem. — No, jakże ci idzie?

(*Rozgląda się*).

Tu widzę pustki! — Co to upor może!
I woli ślęczeć i usychać w biedzie,
Niżli wypełnić przykazanie boże.

KONSTANTY.
Do rzeczy prosto i bez uwag proszę,
Bo nie mam czasu.

ZŁOTKOWSKI.
Źle przyjmujesz gości;
Lecz ja przebaczam i pokornie znoszę
Dla świętych praktyk bliźniego miłości.

KONSTANTY.
Czynu, kuzynie, miłość się domaga.

ZŁOTKOWSKI.
Otoż tu właśnie jest czyn w jednem słowie:
Ojciec cię prosi, słuchaj, ojciec błaga:
Zachowaj pozór; nim cały świat powie,
Żeście w niezgodzie, ty, bądź na weselu
U ojca w domu, bo tam się odprawi.
Zarazem jestem... jestem tutaj w celu
Proszenia ciebie, — zrób jak ludzie prawi,
Nie wchodź do domu, gdzie raz odmówiono.

KONSTANTY.
A, otoż w końcu i prawdę odkryto.

ZŁOTKOWSKI.
Ba, panna Zofja ma być moją żoną.

KONSTANTY.
Czyliż tak nagle znów targu dobito? —
Gdybyś ty nawet kontrakt mi przedłożył,
Jeszcześ za słaby, wydrzeć od niej słowo.
Mówię to zimno, żem część duszy złożył
Mojej, w jej duszę! Tego pojąć głową
Nigdy nie możesz, ani twoje oko
Dojrzy tak kiedy, boś upadł głęboko:
Chciwość i żądze, włos siwy skalały,
Choć według świata ty człek doskonały.

ZŁOTKOWSKI.
Chciwość — ja chciwy? Czyż panna bogata?

KONSTANTY.
To czemuś pojąć tak skory ubogą?

ZŁOTKOWSKI.
Litość mię tylko z panną Zofją swata,
Litość, bo los jej przejmuje mię trwogą.

KONSTANTY.
Ty chcesz prawdziwej być litości wzorem,
A jesteś nieraz na głos nędzy głuchy;
Zatykasz uszy i kryjesz się z worem.

ZŁOTKOWSKI.
Kuzynku drogi...

KONSTANTY.
Kuzynie bez skruchy!
Chcesz kończyć jakieś niesumienne dzieło;
Kończ, nie mam czasu.

ZŁOTKOWSKI.
A! zaklinam ciebie!
Twoje się na nas tak serce zawzięło,
Że nas odpychasz, chociażeś w potrzebie.

KONSTANTY.
A wasze serca tak zakamieniały,
Że same tylko szlecie mi przestrogi
Względów światowych; — próżno, bom zuchwały,
I zakazane dziś przestąpię progi,
Bo tam jest serce — jedno w całym świecie,
Które jest mojem, mimo waszej groźby;
Nie wiem, czy tego pojąć nie możecie,
Czy was przeraża?...

ZŁOTKOWSKI (*na stronie*).
Próżne widzę prośby;
Rozsądek radzi czynić inne kroki.

(*Do Konstantego*).

Nie chcę natrętem być dłużej kuzynie,
Żegnam, lecz wierz mi, że twoje widoki
Na przyszłość, smutne.

KONSTANTY.
Wiadomo jedynie
Bogu, co będzie.

(*Złotkowski spojrzawszy jakby zdziwiony na Konstantego, wychodzi*).

(C. d. n.)

BYSIO KOCHA SIĘ!

HUMORESKA

przez

AURELEGO URBAŃSKIEGO.

III.

Incidit in Scyllam, qui vult...

Bysio wybiegł na ulicę. Pierś jego podnosiła się pod napływem uczucia... Oczy przywarł i biegł na oślep marząc... marząc... i marząc...

Już nawet rymy migały mu się przed oczyma duszy: Lina... Albina — Lisia... Bysia...

Mój Boże, kto z nas nie kochał się, kto z nas nie składał rymów i nie kuł wierszy! Miłość i rymoskładnia, to dwie nieodstępne towarzyszki!... Kochany czytelniku, przewartuj tylko skrupulatnie teczkę twoją z czasów młodzieńczych, a przysięgnę na ostatni guzik mojego literac-

kiego surduta i ostatni cencik mego honorarjum za tę zajmującą ramotkę, że znajdziesz coś podobnego, jak:

Ubóstwiona Lucyno!
Prędzej światy zaginą,
Jak moje gorące uczucie
Ku Cię!

Albo:

Ptak uleci, woda spłynie,
Ale miłość moja nigdy nie zaginie!

Nie mówiłem? Oto porywasz czytelniku za gruby plik papierów, który wydobyłeś z pod biórka, i odmuchnąwszy z odwiecznego kurzu, roztwierasz, szukasz, przerzucasz, wyciągasz zwiędłą różę lub niezapominajki zawinięte w zblakły pożółkły papier, ongi woniejący i czytasz:

O żebyś wiedziała marzeń mych królowo,
Co się dzieje z biedną moją głową!
Jak w niej się przewraca...
Jak się z miłości pali
Jak ognista raca,
I tak dalej!
O! żebyś ty wiedziała, co się ze mną dzieje,
Jak się męczę, jak szaleję,
Ach, wówczas... Ach...

Aha! mam cię, czytelniku! Drzesz płody twej fantazji na drobne strzępki i rzucasz je w ogień, a zwiędłe kwiatki za okno! Gniewasz się, że Cię złapałem na gorącym uczynku... Nie gniewaj się! Żebyś tak zaglądnął do mojego biórka — miałbyś kompletną satysfakcję...

I jam się w Arkadji urodził!
I jam wiersze płodził!...

Dlaczegożby więc i Bysio nie miał wiązać rymy? A to tem bardziej, że był wówczas tak gwałtownie zakochanym, jak ongi ja, lub ty, szanowny czytelniku? A choć możnaby było zaaplikować doń ów wiersz:

„Kozom tobie, nie rymom zaplatać ogony!...“

mimo to jednak Bysio w szale pierwszej miłości zlepiwszy klajstrem erotycznego natchnienia czterowiersz:

Prześliczna panno Lina,
Kochaj tak twego Albina,
Jak Ciebie, o Lisio,
Kocha Bysio! —

mimo to jednak, powtarzam, uskuteczniwszy to dzieło, Bysio zadrżał pod napływem wewnętrznego zadowolenia i oglądnął się z dumą szlachetną w oku, szukając, czy nad brzegiem spokojnej Pełtwi nie wystawiło już pomnika wdzięczne miasto Lwów nieśmiertelnemu swemu wieszczowi?... Oglądnięcie się to jednak było przyczyną, że nadchodząca śpiesznie dama z za rogu ulicy, nagle zrzuciła parasolką kapelusz poecie.

— Ah!...

— Ah!...

— Przepraszam pana...

— O, pani!...

Poszła dalej... Bysio jednak stanął jak wryty. Co za twarz! co za kibić! Co za urok niebiański oka! Bysio czuł, że postać panny Liny niknie w mglistej oddali, a rysy nieznajomej wybitnie się odfotografowały w zelektryzowanej *camera obscura* jego duszy! Bysio pobiegł za nią...

Weszła do domku jednopiątrowego za K r ę c o n e m i s ł u p a m i i znikła w bramie... Bysio w nieskończoność byłby przedłużył wyczekiwanie u przeciwległego rogu ulicy, gdyby nadobna nieznajoma nie była się ciekawie pokazała w oknie, i to bez kapelusza i mantylki.

— Więc ona tu mieszka! — zawołał rozkochany na nowo Bysio, i na oślep popędził w świat za oczy, aby marzyć o pięknej nieznajomej, której panna Lina nie godna rozwiązać rzemyczka u misternych zapewne jej trzewiczków.

Wysoki Zamek i Kisielka, Zofjówka i Ogród Jezuicki, Szkarpy i lasek na Strzelnicy były świadkami gwałtownego wzruszenia naszego bohatera. Brzozy Wysokiego Zamku długo w noc po jego odwidzinach szemrały o młodzieńcu, któren to szalenie wymachiwał rękami, to liczył zgłoski wiersza na palcach, to do lusterka podkręcał małe blond wąsiki.

Nazajutrz Bysio po nocy słodko przemarzonej potrącił niegrzecznie w bramie swego domu pannę Linę wychodzącą do miasta, i nie rzuciwszy nawet za siebie słówka przeprosin, popędził za K r ę c o n e s ł u p y.

W oknie o n a siedziała i czytała... O jakże zazdrościł tym czcionkom, w które wsysał się wzrok ubóstwionej! Jak chętnie chciałby być przynajmniej okładką ze skóry pergaminowej tej książki, która tak wielce zajmowała uwagę czytelniczki, iż ani nie spojrzała na ulicę, gdzie wzdychał rozmiłowany nasz bohater. Wtem... Ach, co za szczęśliwy przypadek!... z książki znienacka i niepostrzeżenie wysuwa się karteczka, a ta karteczka unosi się w powietrze, a to powietrze pobujawszy nią chwilę, składa ją u nóg Bysia. Porwać ją w gorące dłonie, przycisnąć do ust i unieść skarb drogi w miejsce, gdzieby mu go żadna siła świata wydrzeć nie zdołała, było dziełem jednego mgnienia oka!... Wpadłszy do swego pokoiku, zaryglował drzwi, pospuszczał firanki u okien, nie wiem nawet z pewnością, ażali nie przekonał się pierwiej, czy rura u pieca zasunięta — a potem rzuciwszy się na łóżko zwolna rozwinął tajemniczą karteczkę... Nie omyliło go przeczucie... Ołówkiem nakreślone litery mignęły mu przed oczyma... Tysiąc całusów legło na nich, a potem czytał, co następuje:

Stal Ka do kryno liny 1 złr. 50 ct.
2 fonty polendwi cy . . . 44 ct.
Zielone i kżan . . . . . 6 ct.

Oniemiał nasz bohater na chwilę... potem skoczył z łóżka i począł tańcować po pokoiku i klaskać w ręce i śmiać się głośno do siebie, — istny konterfekt aspiranta do Czubków!

Pytasz: d l a c z e g o? zdziwiony czytelniku... Oto na odwrotnej stronie karteczki dwa tylko stały wyrazy:

Ruza Piwonioska.

›To l u b i ę!‹ mógłby był apropos wykrzyknąć z Mickiewiczem nasz Bysio... On jednak zawołał tylko:

— Różo mojego serca! piwonjo moich westchnień! — i obejrzawszy się, czy kto nie widzi, wysunął szufladkę maminego kantorka, a dobywszy ztamtąd listowego papieru i eleganckiej koperty, siadł i napisał:

›Bogini Serca mojego! Aniele!

›Od pierwszego wejrzenia na ulicy, kiedy miałem to niespodziewane i do pozazdroszczenia szczęście, iż twoja, aniele, parasolka strąciła mi z głowy kapelusz, nie mogę przyjść do siebie i nie mogę zebrać myśli moich, aby ci, jedyny Aniele wyrazić to, co w głębi serca mego spoczywa, serca na wszystkie boki na tortury miłości wystawionego, chociaż, jak to ze słów tych, niebiańska raju mego wymarzonego mieszkanko, wnosić możesz, okrutecznie w Tobie, o Pani, zakochany jestem, co poznaję dokładnie sam na sobie, doznając takiego wzruszenia podczas gdy tych słów parę kreślę i myślę na Ciebie, o najpiękniejsza całego świata damo, która zapewne ani myślałaś, że tak gorącem uczuciem miłości natchnąć możesz mnie, rospaczy blizkiego, jeśli również w Tobie iskierki współczucia nie wzbudzę, co jednak wydaje mi się zupełnie niepodobnem, po naszem pierwszem spotkaniu, gdy spojrzenia nasze skrzyżowały się, które mi w sercu głęboko ugrzezło i w Twojem oku niebiańskiem cały raj przyszłej miłości wyczytać mogłem, o co błagając cię, o Pani życia mego i śmierci, i zarazem o chwilkę rozmowy sam na sam prosząc, abym Ci, Aniele, tych słówek kilka dosłownie powtórzył, piszę się Twym o bogini moja

do grobowej deski nieśmiertelnym sługą i kochankiem

Albin.‹

Jak widzimy, znakomicie długa ta perjoda świadczy o nader anormalnym ustroju duszy Bysia — i nie dziwimy się temu wcale! Bysio w przeciągu 24 godzin przyszedł do poznania swych wąsów i miłości — w 24 godzinach zakochał się razy dwa, i co więcej, w tymże samym czasie oświadczył się listownie ubóstwionej, która nad swą rywalką tak rychło i tak świetne odniosła zwycięztwo! Anormalnego tego stanu duszy naszego bohatera wybitniejszym jeszcze dowodem jest oda, którą do tego listu dla tem silniejszego efektu domyślnie załączył.

Oda do Róży.

O Różo, coś mnie w boskiem natchnęła natchnieniu,
Nie noś nigdy u twego łona centyfoli,
Najpierw, bo róża kole, a to strasznie boli,
A potem, bo przy tobie zostać musi w cieniu,
Któraż róża, o Różo, zaćmi cię w tej doli?
Dlatego, nie noś luba, nigdy centyfoli!

Albin.

List zapieczętowawszy i w esy i floresy ubrawszy adres: »*A mademoiselle mademoiselle Rose de Piwonioska — içi — par bonté,*« — wybiegł na ulicę dążąc ku mieszkaniu powabnej Róży.

Jak widzimy, Bysio ratując wówczas na ulicy od ostatecznego szwanku swój cylinder, utracił do szczętu nadszarpane już przez pannę Linę serce, czem usprawiedliwia się słuszność starej jak świat przypowiastki:

›*Incidit in Scyllam, qui vult vitare Charibdim!*‹

IV.

Jegomość z fajeczką i przygody Bysia w bramie.

Bysio stanąwszy przed domem ubóstwionej, spoglądnął najpierw w jej okno, a nie ujrzawszy w niem swego ideału, skierował wzrok swój ku bramie, rozmyślając nad sposobem wręczenia woniejącego piżmem *billet-doux* pięknej Róży.

W bramie stał mężczyzna około lat 50, gruby, łysy, pękaty, w wytartym szlafroku, czapeczce włóczkowej na łysince, z fajką o długim cybuchu w ustach i śledził niecierpliwie ruchy Bysia. O, gdybyś był zauważał, nieszczęsny Bysiu, wzrok tego jegomościa, z pod zmarszczonych brwi krzaczastych strzelający ku tobie, byłbyś może zaniechał twojego zamiaru! Ale nie — Bysio był zakochany! A zakochani mają swą własną loikę, a loika Bysia następny wysnuła rezultat:

Człowiek w wytartym szlafroku, kurzący fajkę na bramie, nie może być nikim innym, jak stróżem; stróż zaś najodpowiedniejszą jest istotą do przesłania biletu miłośnego... Bysio rozgorączkowany przystąpił do bramy...

— Proszę was... — odezwał się zrazu nieśmiało.

— Hm... hm! — mruknął łysy.

— Czy tu mieszka pani Róża Piwonioska?

— A tu...

— Ja miałbym interes...

— Hm... hm...

— Mały interesik...

— No... proszę...

— List tylko...

— Tylko...

— Możebyście...

— Hm... hm...

— Dałbym na piwo...

— Aha...

— Tylko żeby do rąk własnych, i żeby nikt nie widział.

List i szóstaczek wsunął się do ręki jegomościa z fajką, któren nagle stał się rozmownym.

— Więc do rąk własnych pani Róży Piwonioskiej?

— A tak...

— Z pierwszego piętra?

— A tak!

— I żeby nikt nie widział?

— Prosiłbym bardzo...

I drugi szóstak wtłoczył się w kułak łysego jegomości.

— Słuchaj że asan! skórka na buty! — wrzasnął tenże nagle — jeśli posyłasz do czyjej żony tajemne listy, skórka na buty, to nie posyłajże, półgłówku, przez męża!... Patrzaj go! Stróż! A cożto, czy ja patrzę na stróża skórka na buty!... hę? Widzisz no go! Listy będzie posyłał!... Słuchaj ty wiercipięto, pędziwiatrze, jeśli mi tu jeszcze zajrzysz do kamienicy, to cię zapoznam z moim cybuchem, rozumiesz? — A teraz ruszaj sobie, skórka na buty!

I list z dwoma szóstaczkami w towarzystwie pięciopalczastej prawicy pana Piwoniowskiego spotkał się z lewą stroną fizmogonji Bysia...

Nasz bohater znikł jak kamfora. (D. n.)

Korespondencje.

(Dokończenie.)

Paryż, 24. maja 1868.

— Otoż i dowód, że emigracja się kłóci! — zawoła uradowany zwolennik „Przeglądu“ krakowskiego — a więc precz z emigracją!

My jednak widzimy przeciwnie. Spotykamy tu secinę ludzi, którzy wytrwale przedłużają pracę swoją w powstaniu lub przed powstaniem zaczętą, lat cztery na emigrantce znoszą nędzę, ulegają wreszcie fochom i niedorzecznościom Rady, byleby tylko wykształcić się na pożytecznych krajowi obywateli; widzimy ludzi poświęconych i wytrwałych... Już to nienapróżno powiedziano, „że najgorsza do znoszenia zwierzchność, jeżeli jest głupia.“ Spotykamy tu także wysokie pojęcia moralności, obrażenie której wywołuje oburzenie powszechne.

„Biblioteczki ludowej,“ wydawanej nakładem księgarni Luksemburskiej, wyszły w dalszym ciągu:

And. Maks. Fredry. „Przysłowia mów potocznych Tom. 2.“ Dobre to jest, ale wolelibyśmy coś więcej ludowego, lub coś więcej interesującego ogół. Przysłowia te mamy już w taniem wydaniu Przemyślskiem Turowskiego.

Stefana Gardzyńskiego. Dzieje Wacława Tom 1.

Śpiewy Narodowe. Właściwiej by nazwać kościelne, lub kościelno-narodowe. Na czele „Pieśń Boga-Rodzico“ już po raz drugi ze szkodą innych w tej „Bibljoteczce“ z muzyką drukowana, zabiera blizko połowę książeczki. Dalej następują: „Kiedy ranne,“ „Jeszcze Polska nie zginęła,“ „Boże coś Polskę,“ „Z dymem pożarów,“ „Nie opuszczaj nas,“ „Boże ojcze.“ Ogółem wyszło w Bibljoteczce ludowej 50 książeczek, które kosztują $12^1/_2$ fr. (21 złp.).

Wyszedł w Zurychu numer nowego dziennika pod nazwą „Polska.“ Wyszedł drugi tom tak zwanej „Historji powstania narodu polskiego“ w 63 i 64 latach Ag. Gillera, nie więcej wart jak pierwszy. Więcej o nim nie chcemy mówić.

21. maja przypada doroczna uroczystość emigracji polskiej, święto na które Polacy zamieszkali w Paryżu jako też i z prowincji przyjeżdżają do Montmorency, w okolicy Paryża. Słuchają mszy w kościele, kazania po francuzku, następnie idą na cmentarz. Słuchają mów polskich, poczem rozchodzą się po lasku, oddechają świeżem powietrzem i cieszą się pięknemi widokami, jakie przedstawia Montmorency i Enghien. Dzień śmierci Kniaziewicza został wybrany na tę uroczystość, a obchodzoną jest na cześć poległych Polaków w kraju, na Sybirze i tułactwie za niepodległość kraju. W kościele są groby Kniaziewicza i Niemcewicza, spoczywają obok siebie, a nad niemi unosi się anioł, roboty Oleszczyńskiego. W kościele spoczywa jeszcze kilka osób, lecz nie mają oddzielnych nagrobków. W czasie mszy dorocznej kościół ubrany żałobno, a publiczność polska wypełnia obszerne jego podwoje.

Dziwnem się nam wydaje, dla czego obchody odbywają się po kościołach katolickich, jak gdyby Polacy byli narodem wyłącznie katolickim! Obchody te są urządzane niejednokrotnie w celu manifestacji zewnętrznej; nie jesteśmy zwolennikami tych manifestacyj dla Europy, ale gdy one są, to właśnie forma dla nich wybrana najniewłaściwsza. Ze wszystkich narodów Europy, Polska była najwięcej tolerancyjną, nie miała wojen religijnych i dawała przytułek emigrantom wszystkich wyznań w jakiemkolwiek państwie prześladowanym. Polska i dziś posiada ludność różnych wyznań, katolików nie ma połowy. Polska od trzydziestu lat ogłasza wolność, równouprawnienie wyznań... A pomimo to wszystko, ludy Europy — nie mające wyobrażenia o historji polskiej, i gdyby nie powstania częste — nie wiedziałyby o istnieniu narodu... może właśnie najwięcej ucząc się z manifestacyj, uważają Polskę jako naród fanatyczno-katolicki, nie tolerancyjny, i z tego względu są nieprzyjaciołmi Polski. Nie mówimy tu tylko o nieoświeconym ludzie, ale i o jego przewódzcach, zkądinąd wielkich ludziach, którzy znają Polskę z pism Woltera i z ciągłych manifestacyj.

Jak się nazywa ksiądz co mówił kazanie? nie wiem, ale nie wiem również dla czego kazanie jest po francuzku, kiedy to obchód polski!... Zdaje się dla tego, że ten język zrozumialszy dla naszych panów, którzy notabene w Montmorency nie bywają. Ksiądz gadał bardzo długo, bardzo głośno, z wielką energją i blagą, jak to jest zwyczajem na kazalnicach francuzkich. Mówił, że Polska a katolicyzm to jedno, że Polski bez katolicyzmu pojąć nie można, że chociaż może utraciliśmy ojczyznę na zawsze, ale za to jako katolicy znajdziemy drugą ojczyznę w niebie... Że trzeba ciągle walczyć z wrogami sercem; że papież jest dobry człowiek i robi wiele dla Polaków; że naszą (Polski) zgubą są żydzi, bo oni męczyli Chrystusa (tu ksiądz zapomniał, że i Chrystus był żydem) i... nie są katolikami!

Po mszy miał mowę, jak to co rok bywa, mer miasteczka Montmorency, staruszek ubrany w mundur wojskowy, towarzysz broni i przyjaciel wielu pogrzebanych w tem miejscu z czasów Napoleońskich. Mowa jego składała się z kilku serdecznych słów dla Polski.

Na cmentarzu, na grobach polskich publiczność grupuje się około grobu Mickiewicza, a ktokolwiek z obecnych przemawia, ale już po polsku. Tamże odbywają się zarówno obchody czeskie i serbskie, gdyż Mickiewicza pobratymcze nam ludy uważają za poetę słowiańskiego. Jeden z takich miał miejsce 17. maja b. r., jako protestacja przeciwko działaniom moskalofilów czeskich. Trzy lata temu Serbi obchodzili pięćdziesięcioletnią rocznicę swojej niepodległości, Polacy i Czesi im towarzyszyli. W roku zeszłym 21. maja było postawienie pomnika Mickiewiczowi. Obchód był świetny, oprócz Polaków przemawiali Francuzi, Włosi, Czesi, Serbi, Węgrzy; Wołowski Ludwik, Goszczyński, Carnot, Hugo, Lewi, Fricz i t. d. W zaprzeszłym roku chciano postawić pomnik ks. Adamowi Czartoryskiemu kosztem publicznym; wystąpił Al. Wernicki z protestacją, publiczność protestację przyjęła z oklaskami i pomnika nie postawiono.

W tym roku przemawiał naprzód Grzymała, steoretypowy mowca emigracyjny, któren od 31 roku nie opuszcza żadnego zebrania, aby go nie uświęcić swą mową, reassumując zawsze stan polityki współczesnej. Po nim miał głos Al. Wernicki, kilku słowami wspomniał niedawno zmarłego Wł. Zamojskiego; resztę swej mowy poświęcił strofowaniu zarządców Szkoły Montparnaskiej za zamknięcie takowej.

Obchód 21. maja jest jeszcze z tego względu bardzo dobry dla emigracji, że tu schodzą się wszyscy, pokrzepiają się wzajemnie; ci co nie widzą się nigdy, tu mają sposobność spotkania się.

Ksiądz Mikoszewski, o którym wspominaliśmy, ogłosił sprawozdanie ze swojej wycieczki do południowej Ameryki. Całą południową Amerykę zastał albo w rewolucjach wewnętrznych,

albo wojnach zewnętrznych. Pomimo to, wszędzie spotykano go serdecznie, okazywano wiele współczucia dla sprawy Polskiej i spieszono z pomocą pieniężną. Oto jak sam pisze:

„Wyjeżdżając z Francji na początku 1865 roku i udając się w podróż, miałem podwójny cel przed sobą, t. j. jako naoczny świadek ciemięztwa moskiewskiego, dokładnie objaśnić rozmaite ludy o stanie obecnym naszego kraju, i następnie zawezwać je do złożenia choćby szczupłej ofiary na cele patrjotyczne.

„Pierwsza część mego programatu łatwą była do dopełnienia (?), ponieważ umysły szlachetne wszystkich krajów współczują z nami, a to współczucie wypływa z głębokiego uczucia sprawiedliwości. Usiłowałem też w dalekich stronach dać poznać charakter naszego narodu, jego historję i dążności dziejowe, i mogę wyznać, że usiłowania moje nie były daremne. Dowodem tego liczne artykuły po rozmaitych dziennikach, broszury, publiczne odczyty i poezje, poświęcone krwawemu dramatowi naszej ojczyzny.

„Druga część mego zadania trudniejszą była do wykonania. Dopiąłem tego w szczupłym nader zakresie, nieodpowiadającym życzeniom samychże ludów, lecz przypisać to należy rozmaitym okolicznościom.“

W numerze 174 i 175 „Głosu Wolnego,“ zamieszczone całe sprawozdanie księdza Mikoszewskiego. Prace literackie i naukowe, wywołane podróżą księdza Mikoszewskiego, mają być wkrótce drukiem ogłoszone. *A. D.*

Rozmaitości.

* Znakomity rzeźbiarz Oskar Sosnowski przeznaczył dla Krakowa, posąg marmurowy własnego dłuta, przedstawiający ks. Skargę. Pomiędzy innemi, katedra Gnieźnieńska jest ozdobiona płaskorzeźbą Sosnowskiego, przedstawiającą Mieczysława i Dąbrówkę, a Poznańska posągami śś. Piotra i Pawła.

* W Krakowie znajduje się obecnie na wystawie obraz J. Matejki przedstawiający Augusta i Barbarę. Znawcy zaliczają go do najpiękniejszych dzieł artysty.

* Dickensowi ofiarowano 20.000 dolarów za powieść, którąby była tak wielką, jak *Our Mutual Friends;* ale daru nie przyjął, nie mając zamiaru pisać powieści kilkotomowej.

* Sławny traik amerykański Edwin Booth, brat zabójcy Linkolna, występując w Bostonie w tytułowej roli tragedji *Ryszard III.* Szekspira, miał na sobie kostium, wartujący 50.000 dolarów. Berło i korona były szczerozłote, zbroja i miecz ozdobione drogiemi kamieniami.

* Korespondent „Dziennika Poznańskiego“ donosi, że Rada szkolna odpowiedziała odmownie na przedstawienie stronnictwa narodowego ruskiego: ażeby komisję szkolną zajmującą się rozpatrywaniem ksiąg szkolnych ruskich powiększyć dwoma członkami z tegoż stronnictwa. Nie wiemy ile jest w tem prawdy; gdyby jednak Rada szkolna w rzeczy samej zaufała zdolnościom i dobrej woli dotychczasowych członków komisji — to obawiamy się bardzo, ażeby nie żałowała swego pośpiechu. Kto wierzy, że rusini galicyjscy zgadzają się w treści, różniąc się tylko formą — bardzo się myli! A w każdym razie rzeczą jest pewną, iż pomiędzy prawdziwymi rusinami nie ma ani jednego, któren by chciał utrzymania pisowni etymologicznej; a pomiędzy russkiemi żadnego takiego, któren by używał pisowni fonetycznej!... co powinno dać wiele do myślenia — nawet i Radzie szkolnej!...

* Na cmentarzu krakowskim stanie pomnik ku pamięci Warszewicza, z jego popiersiem, z marmuru kararyjskiego. Wykonanie powierzono rzeźbiarzowi W. Gadomskiemu.

* Auber pracuje nad nową operą p. t. *Sen miłości.* Zadziwiająca siła twórcza w starcu blizkim grobu!

* Abbe Liszt zamyśla udać się do Anglji; jesienią przybędzie do Wejmaru, gdzie dawanem będzie jego oratorjum p. t. *Św. Elżbieta.*

* Palacki, historyk i główna podpora dążeń panmoskiewskich, w Czechach dziś jest bożyszczem tych samych ludzi, którzy niedawno jeszcze walczyli z nim na zabój, jako z człowiekiem wiodącym naród do zguby. Lecz to co wczoraj było śmiercią dla Czechów — Moskwa — dziś wydaje się im zbawieniem!... Nieszczęsny obłęd.

Korespondencja Redakcji.

W. A. D. w Paryżu. „Nowiny“ przesyłamy.
Kółko literackie we Lwowie. Nadesłane wiersze zamieszczone być nie mogą.

Od Wydawnictwa.

„Nowiny“ w przyszłym kwartale wychodzić będą jak dotychczas. Przedpłata roczna wynosi z przesyłką pocztową ***tylko 4*** *złr.* **60** *cent., półrocznie* **2** *złr.* **30** *cent., kwartalnie* **1** *złr.* **15** *cent.*

Pieniądze ***franco*** *przesyłać należy pod adresem wydawcy: „Kornel Piller, właściciel drukarni we Lwowie.“ Prenumeratę przyjmują biura pocztowe, wszystkie księgarnie, szczególniej zaś kięgarnie* ***Baumgartena w Krakowie, Pellara w Rzeszowie*** *i* ***Csillika w Tarnopolu.***

Załączają się ***„Listy zwrotne.“***

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.